

cięż nie wierzył w szczerść swojego gościa, jednakże zanadto się już zaawansował, aby cofać się teraz. Zresztą pomimo nieufności, która go nie opuszczała ani na chwilę, rozmowa ta, w której zostało wymówione imię młodej dziewczyny, którą kochał nad życie – pociągała go dziwnie.

– A czy pan sądził, że pomyślałem kiedykolwiek, iż bankier de Compans przybędzie tu po mnie? – zapytał głosem, w którym przebiła się duma.

– Dlaczego nie?

– To marzenie dla mnie nieziszczalne!

– Czy chce pan, abym z niego uczynił rzeczywistość?

– Pan! W jaki sposób?

– Zobacz pan. Czy panu naprawdę na tem zależy?

– Chyba pan żartuje.

– Nie, nie żartuję wcale! – rzekł nieznajomy poważnie, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka – Jesteśmy obydwaj dojrzały ludzie i mówimy rozsądnie. Powiadam więc panu, że jutro bankier Compans przyjdzie sam tutaj zawezwać doktora Franka.

– Ależ to niemożliwe!

– Przekonasz się pan o tem.

– Pewność pana oddziaływała na mnie pomimo mnie. Więc jest to możliwe?

– Stanie się to jutro, ale pod jednym warunkiem.

– Niech pan mówi.

– Jeżeli spotka mnie pan przypadkiem w salonach bankiera, uda pan, że widzi mnie poraz pierwszy.

– Dlaczego?

– To jest już moja tajemnica.

– Niech i tak będzie.

– A więc rzecz ułożona. Muszę już odejść i pożegnać pana.

– Kiedy pana zobaczę?

– Jutro.

– Niech pan pamięta o danem przyrzeczeniu.

Nieznajomy uśmiechnął się.

– Powtarzam panu, że jutro baron de Compans będzie tutaj! – wyrzekł przekonująco. Poczem uklonił się i wyszedł.

Frank pozostał sam, dziwnie oszołomiony i zmieszany. Nie mógł sobie dokładnie zdać sprawy z tego, co się stało. Chwilami miał wrażenie, że uległ jakiemuś podnieceniu wyobraźni, że to sen, z którego wkrótce obudzi się mu przyjdzie. Całą noc spędził bezsenność, w stanie gorączkowego zdenerwowania i oczekiwania.

Pomimo iż zapewnienie tajemniczego nieznajomego wydawało mu się wprost niepodobieństwem, jakaś szalona nadzieja, to znowu zwątpienie wstrząsnęło całą jego istotą, przyspieszając bicie serca.

W coż wierzyć mógł? Na jakim przypuszczeniu oprzeć się? Kto był ten człowiek, którego widział po raz pierwszy i skąd to zainteresowanie się nim?

Czyż mógł marzyć o miłości córki bogatego bankiera, którą odtąd widywał tylko z daleka przejeżdżającą powozem i z którą nie zamienił jeszcze ani jednego słowa.

Nadzieje, którym pozwolił się na chwilę unieść, wydawały się mu teraz zuchwałem szaleństwem.

Noc całą spędził na podobnych rozmyśleniach, a kiedy nadszedł ranek, gorączkowe podniecenie wzmogło się jeszcze. Dręczące uczucie oczekiwania przyłączyło się jeszcze do jego niepokojów. Godziny wlokły się w nieskończoność, długie i monotonne i zdawało mu się, że ten upragniony wieczór nie nadjdzie nigdy.

Nie mogąc usiedzieć w swoich pokojach, kilkakrotnie wychodził, przebiegając bez celu ulicę miasta, powracając z zapytaniem, czy się kto nie pytał o niego.

Nareszcie nadeszła godzina szósta.

Jeszcze miał przed sobą całą godzinę oczekiwania.

Całe życie jego przesunęło się teraz przed jego oczami. Przeszłość pełna walk ciężkich i nędzy i przyszłość widziana poprzez rojenia i pragnienia młodości.

Na piersiach czuł ciężar nieznośny, utrudniający oddech, w głowie szum, pozbawiający go chwilami przytomności umysłu.

Nareszcie na najbliższej wieży kościelnej wybiła powoli siódma godzina.

Doktor Frank przybity, zgnębiony siedział bezwładny na stołku, wpatrzony w drzwi swojego pokoju.

Nagle powstał gwałtownie i począł nadsłuchiwać.

Donośne uderzenia zegara, w które wsluchiwał się tyle razy z obojętnością, wprawiały go obecnie w przykry nastrój nieokreślonego lęku.

W tej chwili powóz z głuchym łoskotem przejechał ulicą i zatrzymał się przed domem.

Doktor Frank nie śmiał wyrzeć oknem, lekając się rozczerowania. Zapomniał już o tajemniczym nieznajomym, do którego czuł pewną nieufność, a pamiętał tylko o jego obietnicach i postaci Sylvii de Compans stanącej żywa przed jego oczami. Czy nie śnił jednak? Czy naprawdę powóz zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał i osoba w nim przybywająca miała za chwilę stać się jego gościem?

Wkrótce szybkie kroki rozległy się na schodach, poczem zapukano do drzwi gwałtownie.

Frank z trudem powstrzymał okrzyk wyrzuciwszy mu się z piersi.

Pukanie powtórzyło się.

– Proszę wejść! – zawołał drżącym głosem wpatrzony w drzwi rozszerzonymi źrenicami.

Na progu stanął mężczyzna. Postawę miał wyniosłą, budzącą poszanowanie. W prawej ręce trzymał kapelusz i chusiką wyciągniętą z kieszeni obcierał czoło zroszone potem. Twarz jego była okrągła i pełna zdrowia, pomimo niepokojów, jaki się na niej teraz malował. Włosy miał już przyprószone gdzieś siwizną. Ubrany był z wyszukaną wytwornością, a na białej, pikowej kamizelce jaśniał gruby złoty łańcuch obwieszony brelokami. Oczy ciemne ochraniał cwikier również w złotej oprawie.

– Pan doktor Frank? – zapytał nowoprzybyły żywo.

– To ja nim jestem. – odparł młody człowiek nienaturalnym, zgaszonym głosem.

– Jestem hrabia de Compans.

– Ach! – szepnął doktor Frank, opierając się ręką o róg stolika, bo czuł, że siły zaczynają go opuszczać.

Bankier wszedł szybko do pokoju, nie zdając się zwracać uwagi na jego skromny i ubogi wygląd.

– Moja córka umiera. – wymówił ciężkim, przerywanym głosem – Przywołałem do niej najslawniejszych lekarzy i żaden z nich nie umiał określić powodu tej strasznej, gwałtownej choroby, która na nią spadła.

– Czy być może? – wyszeptał młody człowiek blednąc nagle.

– W chwili, kiedy straciłem ostatnią nadzieję, przyszedł do mnie człowiek pewien – ciągnął dalej bankier – i powiedział mi: „Tylko doktor Frank uratować może dziecko pana, udaj się do niego bezzwłocznie”. Widzi pan, że nie straciłem ani minuty i przybyłem do pana! Czy chce pan ratować moją córkę?

Frank nie zdołał odpowiedzieć. To, czego się dowiadywał, graniczyło z nadnaturalnością i zapytywał się z lękiem, jaką mocą ukrytą rozporządzał człowiek, który przyszedł wczoraj i kilkoma słowami zburzył cały jego spokój.

– Niech pan idzie ze mną – trzeba się spieszyć. – błagał bankier zmieszany, nie rozumiejąc milczenia młodego człowieka.

Frank zatrzymał go ruchem ręki.

– Jestem tak zaskoczony tem wydarzeniem – przyznał drżącym głosem – że...

– Chodźmy! Chodźmy! – nalegał baron de Compans, chwytając go za rękę.

– Ależ, kimże ja jestem, abym budził w panu takie zaufanie? – bronił się jeszcze młody człowiek.

– Ach! Coż mi na tem zależy! Tu chodzi, powtarzam panu, o życie mojego jedynego dziecka! Najmniejsze opóźnienie zgubić ją może bezpowrotnie. Niech się pan nie waha, przez litość.

Frank nie opierał się już. Los jego rozgrywał się w tej chwili, nieznana ręka skierowała go na drogę, którą nadal postępować musiał.

Podniósł głowę i śmiało spojrzał na barona de Compans. Wiara i ufność wstąpiły w niego, miał wrażenie, że jakaś siła potężna pcha go naprzód i gotów był dać się jej kierować bez oporu.

Złote drzwi marzeń otwierały się przed nim, tych marzeń, które niepokoiły go bezustannie w latach ciężkiej pracy i zwątpienia.

Uczynił ruch ręką, oznajmiający, że jest gotów pospieszyć, dokąd chce go zawieźć baron.

Powóz, zaprzęgnięty w dwa przepyszne konie, oczekiwał na ulicy przed domem.

Bankier i młody doktor wskoczyli do niego i konie uniosły ich w stronę przedmieścia Saint-Honoré.

W pierwszej chwili bankier milczał, przejęty niepokojącymi myślami.

Frank zaś, chociaż jeszcze trwał pod wrażeniem silnego wzruszenia, pragnął być objaśniony co do szczegółów choroby młodej dziewczyny i odezwał się pierwszy, przerywając milczenie.

– Czy długo już panna de Compans jest chorą? – zapytał zwracając się do towarzysza.

– Choroba jej przyszła nagle. – odparł bankier, budząc się z zamyślenia – Wczoraj rano jeszcze była pełna sił i zdrowia i wszyscy w domu cieszyliśmy się jej radością, kiedy otrzymała od narzeczonego podarunki przedślubne.

– Podarunki przedślubne! – powtórzył Frank, uderzony temi słowami.

– Tak jest! – przytaknął baron, który był zanadto wzruszony, aby zwrócić uwagę na nagle zmieszanie młodego człowieka – Może pan zrozumieć, co to za przyjemne chwile dla młodej dziewczyny, która po raz pierwszy podziwia perły i drogie kamienie, które są jej własnością. Ach! Zaręczam panu, że myśl o nieśczęściu daleka była od nas w tej chwili, ale trzeba było jednej godziny, aby radość naszą zamienić w rozpacz ostateczną!

Każde słowo bankiera sprawiło ból żywy doktorowi. Było to tak, jak gdyby ironia losu! Można było wierzyć, że jakaś fatalność zlażyła nad nim, mącąc nadzieję, przedwcześnie obudzoną w jego duszy.

Sylvia wychodziła za mąż.

A przecież on ludził się przez chwilę, nie chcąc pomyśleć, że złudzenie to jest istnem szaleństwem.

A jednak ktoś wiedzieć może, co stanie się jeszcze?

Zobaczy ją... przemówi, będzie mógł uścisnąć jej rękę.

Wyrwana przez niego śmierci, może uczuje wdzięczność dla swojego zbawcy, a ta wdzięczność przy usilnych jego staraniach zamieni się może w głębsze uczucie.

Męcząca walka toczyła się w duszy Franka.

A jeżeli uratuje ją po to, aby zdrową i wesolą oddać w ręce innego, do którego już prawie należy?

Fala zazdrości uderzyła w niego i przez chwilę oszalały z bólu, myślał nad sposobem pozbycia się nienawistnego rywala.

Już tyle cierpiał, tyle się męczył bezowocnie, że zdawało mu się niepodobieństwem rozpocząć teraz nowe życie, wnosząc w nie tak bolesne rozczarowanie, bolesniejsze siokroć od tamtych, przeżytych już.

Tymczasem powóz zatrzymał się przed willą bankiera, przerywając smutny bieg myśli Franka.

Bankier wyskoczył żywo z powozu i pociągnął spieszenie młodego człowieka aż do pokoju, w którym leżała jego córka.

Frank, widząc przepych i wytworność otaczającą go z zewnątrz, nie czuł się zmieszany. Myśli jego były przejęte teraz ważniejszą rzeczą. Z każdą chwilą, zbliżającą go do pokoju Sylvii, czuł, jaka zmiana wytwarza się w jego duszy. Zawisłe i niedobre uczucia, któremi był przepełniony, jadąc tutaj, ustąpiły zupełnie. Ogarnęło go silne rozkliwienie i współczucie dla tego zgnęanego oca, błagającego go spojrzeniem o ratunek dla córki i kiedy baron, otwierając drzwi poboju Sylvii, przepuścił go w milczeniu, nie mogąc słowa wymówić – Frank byłby oddał wszystkie skarby przyszłości, by stać się naprawdę wybawicielem tej rodziny, obcej jeszcze dla niego wczoraj.

Miłość czysta i bezinteresowna siłą swoją zwyciężyła zazdrość i niechęć dręczącą go przed chwilą i Frank wzruszony odpowiedzialnością, jaka na nim ciążyła, podszedł do łóżka, na którym spoczywała chora.

Wokoło stało kilku lekarzy rozprawiających szeroko nad tą nieodgadniętą i dziwną chorobą, w której się rozpoznać nie umieli.

Zastosowano już przeróżne lekarstwa i zabiegi, ale dotąd okazały się one zupełnie bezskuteczne, a złośliwe zło niszczyło coraz bezwzględniej wale ciał młodej dziewczyny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)